

# Orbitowski Łukasz

## Murawski

Z „Fahrenheit”

### Warszawa 1942

Padał pieprzony śnieg.

Facet, znany z gadzinówek jako Murawski, wracał do domu podпиты, przeklinając godzinę policyjną. To zabawne, jak opacznie ludzie postrzegają pewne rzeczy. Niektórzy wierzyli święcie, że za parę przygodowych opowiadań Niemcy przyznają tytuł honorowego aryjczyka, a Frank zaprasza na Wawel i opowiada o udach własnej córki. Znaleźliby się też inni, gotowi sprzedać kulkę w ciemnej ulicy. Jak prości bandyci. W gruncie rzeczy, za nic.

Tak myślał Murawski, pędząc do domu na złamanie karku. Skierował myśli ku nie zaczętych książkom, które jawiły się już wyraźnie, jak i tym, podobnym do cienia na dnie studni. Cokolwiek nie napisze, nigdy nie pošle bohatera w zimę, lód i śnieg.

Warszawa przypominała porzucony teatr, pobielany, zdobny gronem niebieskich świateł, mrugających z bram i załomów nieba. Żaden cień nie ruszał się w oknach. Śnieg przywarł do ziemi. Powietrze stało, przestrelone przez gwiazdy i światła latarni. Powietrze z kostnicy, gdzie chłodnie pracują na trzy zmiany. Ani jeden płatek śniegu nie wirował pod bezchmurnym niebem. Murawski pędził wbrew bezruchowi.

W nocy wszystko jest większe. Stalowe kamienice pęcznieją jak groch. Niebo, gdzie w dzień z trudem mieści się słońce, udziela miejsca dla tysięcy gwiazd, ale nadal pozostaje czarne. Ulice, na których samochody mijają się z trudem, nocą przypominają pas startowy. Bramy dzielą od siebie tysiące kroków.

Można pomyśleć, że Warszawa w lutym, Warszawa niemiecka, biało – brunatna, to strzelnicza tarcza, z okręgami i czarnym punktem pośrodku. Murawski, który mimo zimna wcale nie trzeźwiał, wyobraził sobie, jak gwiazdy odrywają się z nieba i spadają, każda zakończona ostrym szpicem. Bezgłośnie wbijają się w ulice i dachy kamienic. Przyspieszył.

Przed dziesiątą każdy biegnie, czy gnojek, bawiący się w bohatera, czy człowiek taki jak Murawski, który stara się przeżyć, bo ma wiele do stracenia. Murawski wierzył w przecucia i wiedział, że będzie tak biegł jeszcze wielokrotnie. Być może do końca życia. Ale zawsze dojdzie do domu. To przecucie nie sprawiało, że bał się mniej.

Wszedł do bramy, przysiadł na schodach, odetchnął. Koszula pod płaszczem nasiąkła kwaśnym potem. Otarł czoło i poszedł na górę, gdzie czekała Krystyna.

Otworzyła w progu. Niepisana umowa głosiła, że pijanemu Murawskiemu nie robi się wymówek. Objął ją tylko. Nie odwzajemniła uścisku.

– Niepotrzebnie się martwiłaś – powiedział. – Jak zawsze wszystko dobrze.

Wszedł do środka i opadł na krzesło.

– Przegapiłeś gościa. – Krystyna podała herbatę.

– Napraszają się, skurwysyny.

– Nic takiego. – Pocałowała go w czoło. – Ten chłopiec z dołu czekał na ciebie prawie godzinę.

Murawski poczuł się, jakby wpadł do lodowatej wody. Wziął płytki oddech.

– Chłopiec?

– Przecież wiesz. Opowiadałeś mu o Ameryce.

Murawski skinął głową. Miał wrażenie, że cała kamienica zjeżdża powoli pod ziemię.

– Tak – powiedział. – Opowiadałem.

\*\*\*

Facet, znany z gadzinówek jako Murawski, leżał i zaklinał sen.

Nocnej ciszy w okupowanej Warszawie nie da się porównać z niczym innym. Miasto zmienia się w zbiega, kucającego w rowie, gdy obok przechodzi pościg, boi się oddychać, wycisza bicie serca. Przepadły krzaki pijanych studentów, świergot par, odgłosy bójek. Tylko kroki, wolne i miarowe. Obce buty uczą ziemię własnych rytmów.

Murawski prosił o sen, ale nie potrafił wygnać chłopca spod swoich powiek.

Wrócił do lata 1940 roku, kiedy stało się już jasne, że sojusznicy zawiedli i trzeba jakoś budować życie. Murawski posiadał amerykański paszport i mógł wyjechać w każdej chwili. Został, choć nie umiał wyjaśnić dlaczego. Może, po prostu, lato w Warszawie jest inne niż gdziekolwiek? Paradoksalnie, to pod skrzydłami okupanta rozwinął skrzydła jako pisarz i znalazł sposób, żeby się odwdziżyć – kiedy tylko pojawi się okazja, weźmie karabin i przepędzi brunatnych skurwysynów.

Wszedł na podwórko i chyba myślał o nowej książce, gdy szmaciana piłka trafiła go w środek głowy. Murawski poleciał do tyłu, ale podparł się rękami i zdołał usiąść, cudacznie rozkraczając nogi.

W rogu powtórka stał kilkuletni chłopiec, z blond czupryną i znanym Murawskiemu wahaniem w oczach – dać nogę i poświęcić piłkę, czy narazić się na burę, ale spróbować odzyskać cenny przedmiot. Murawski wstał, podniósł piłkę i wyciągnął rękę.

– To chyba twoje – powiedział.

Chłopiec kiwnął głową z przejęciem.

– Weź sobie. – Murawski podrzucił piłkę. Chłopiec cofnął nogę, jakby szykował się do ucieczki. Wlepił wzrok w Murawskiego i chyba uznał, że facet w płaszczu jest zbyt młody i niegroźny, żeby robić wymówki. Chłopak, wciąż pełen wahania, zrobił krok do przodu.

– Nie bój się – zachęcił Murawski.

Począł, aż chłopiec zbliżył się na kilka kroków, i rzucił mu piłkę. Chłopiec roześmiał się.

– Dziękuję panu – powiedział, już bez skruchy. – I bardzo przepraszam.

– Wcześniej cię tu nie widziałem – rzekł Murawski.

– Mieszkamy od niedawna. A pan co tu robi?

– Jestem pisarzem. Jak trochę porośniesz, dam ci moją książkę.

– Nie mogę dostać już teraz? Uczę się czytać. – Wyglądał, jakby zaraz miał tupnąć na znak sprzeciwu. – A o czym pan pisze?

– Nie mogę ci dać. – Powieść, którą pisał, w najlepszych okolicznościach miała szansę ukazać się drukiem w jakimś reżymowym dziadostwie w rodzaju "7 dni". – Ale mogę opowiedzieć. Piszę o Ameryce.

– Był pan w Ameryce? – Oczy chłopca zapłonęły. Murawski zobaczył w nich step, Indian i dzielnych kowbojów.

– A, byłem. – Murawski usiadł na murku i zachęcił chłopca, by zajął miejsce obok. – Studiowałem. Wiesz, to piękny kraj, pełen niespodzianek. Można tam przeżyć życie, a Ameryka dalej będzie tajemnicą. Wiesz na przykład, że to biali przywieźli konie do Ameryki?

– Indianie nie mieli koni?

– Podobno kiedyś mieli, długo, długo przed przybyciem białych twarzy. Ale jedli je, zamiast na nich jeździć. Powiem ci jeszcze... Wiesz, co to jest lemur?

Chłopiec pokręcił głową.

– Takie stworzonko. – Murawski pokazał rozmiar. – Trochę podobne do lisa, albo łasicy. Ma taki ruchliwy nos. I wyobraź sobie, że kiedyś w Ameryce były lemury wielkości samochodu. Wyobraź sobie, mój mały, że jesteś indiańskim wojownikiem. Za setki lat na twoją ziemi przyjadą biali, ale teraz zupełnie cię to nie interesuje. Prowadzą cię duchy przodków, idziesz przez las z włócznią i łukiem, szukasz obiadu dla swojego plemienia. I nagle widzisz trzytonową górę mięsa, która spokojnie patrzy na ciebie. To było życie, nie?

Do otwartych ust chłopca mogłaby wlecieć mucha.

– A ty, byłeś gdzieś?

– Nie, ale pojedę. Zwiedzę cały świat. Zobaczysz pan.

Murawski włożył dłoń w gęste włosy dziecka. Podobał mu się ten malec. Chętnie porozmawiałby dłużej, ale Krystyna w oknie dała znak, że trzeba wracać. Pewnie obiad już się przypalał.

– Muszę iść, mały. – Niezadowolony, podniósł się z murku. – Ale wiesz co? Wpadnij kiedyś do mnie na piętro. Pokażę ci książki i zdjęcia. Poopowiadam trochę, dobra?

Chłopiec nie odpowiedział, miał przymknięte oczy i najpewniej wędrował już po prerii. Murawski wiedział, że malec przyjdzie.

I znów była noc, Murawski płynął pod powierzchnią snu.

\*\*\*

Facet, znany z gadzinówek jako Murawski, jadł zupę w warszawskiej restauracji. Śledził smętnie przechodniów za oknem, odprowadzał patrole wzrokiem, potem przenosił wzrok na Zbyszka i wszystko, co chciałby powiedzieć, wydawało mu się niestosowne. Obok talerza rozłożył "7 dni", kontrolowany przez

Niemców tygodnik. Znalazł nazwisko, które przyjął, zawiesił wzrok na tytule (*Żelazny pazur*, gdyby miał 14 lat, oszalałby na jego punkcie), przerzucił kartki, westchnął i pochylił się nad zupą.

– Wyczekany debiut – rzucił gorzko. – Kupa lat, przyjacielu. I co, mam ci powiedzieć, że nie na to czekałem?

– To debiut Murawskiego.

– Ludzie nie są głupi. – Zwinął gazetę w rulon, uderzył o blat. – Psiakrew, wolałbym, żebyś na mnie napadł, opieprzył jak święty Michał diabła. Czasem siedzę w domu i kombinuję. Mam tysiące argumentów, bo przecież robię dobrze, nie? Ale coś wyje wewnątrz. Tak na złość.

– Mogłeś nam machać ze Stanów. – Zbyszek nachylił się, ściszył głos. – Mogłeś... Czy ty piszesz o Hitlerze? To powieść przygodowa, chłopie. Daj spokój, przyjacielu, znam cię. Przecież nikogo nie zabiłeś.

– Jestem odważny na pół gwizdka, co? – prychnął Murawski i zanurzył łyżkę w zupie.

– Fredek, na miły Bóg, co się z tobą dzieje? – Zbyszek trącił go po przyjacielsku. – Miesiąc temu byłeś inny.

– Nie wiem. – Murawski wbił wzrok w talerz. – Może gorzej udaję. A może nie tak wyobrażałem sobie to wszystko.

– Każdemu teraz jest ciężko. Pomyśl, ja zazdroszczę ci twojego świata.

– Mówisz jakby było czego.

– Może to naiwne – entuzjazmował się Zbyszek. – Ale to trochę tak bycie Bogiem, prawda? Tworzysz człowieka i kierujesz jego życiem, możesz go zabić, ożywić na nowo, uszczęśliwić, przekląć. Możesz wszystko.

– Głupstw ci nagadali.

– Nie mów, że piszesz tylko dla pieniędzy.

– A ty nie mów, jak to dzielę i rządę. – Murawski zanurzył łyżkę w zupie, żurek przelał się smętnie i pisarz stwierdził, że nie pora na pierwszy łyk. – Maszyna mnie wzywa, jeśli już bawimy się w wielkie słowa.

– Tego się domyślam.

– Niczego się nie domyślasz. To nie jest tak, że tworzę i koniec, powiem ci tak szczerze. – Zwolnił, szukał słów. – że to, chyba, bohater książki rządzi nami. Wymyślasz jakąś głupią postać, rozumiesz, nadajesz jej przypadkowe cechy i nagle, strona po stronie, papierowy człowiek nabiera kolorów. I jak krzykliwe dziecko, zmusza cię do zainteresowania. Myślisz że to łatwe, zgrabne, coś takiego?

Zbyszek śledził losy pewnego ziemniaka. Murawski przytapiał go łyżką i wyławiał na powrót.

– Nagle orientujesz się, że to bohater rządzi tobą. To jest problem. – Nabrał żurku. – Zwłaszcza, gdy nie możesz napisać, co myślisz.

Zupa zdążyła już wystygnać. Murawski pomyślał, że gdy zacznie jeść, uniknie dalszej rozmowy. Ziemniaki smakowały jak rozmokła glina, koperek jak papier, wszystko zimne i straszne, niczym woda po obmyciu

trupa. Sunęła ospale przez przelyk, lądowała w żołądku z lekkim plaśnięciem. Murawski zakrztusił się. Nabrał kolejną łyżkę, przełknął z wysiłkiem. Czuł, że przelyk zaciska się, wypycha ciecz z powrotem w górę, że żołądek kurczy się i cofa. Otarł twarz i zdołał przełknąć.

Z zupy patrzył na niego tamten chłopiec. Wytrzeszczał oczy z namokniętego chleba. Usta otworzyły się jak rana. Ziemiaki ułożyły się we włosy, jajko w trupie czoło. Szczyrzył się do Murawskiego.

Pisarz uderzył dłonią w talerz. Zupa rozprysnęła się na stół, podłogę, oniemiałego Zbyszka. W lokalu zapadła cisza. Murawski słyszał tylko własny oddech i śmiech tłuczonego szkła.

– Zostaw mnie – wykrztusił.

Żołądkiem targnął skurcz. To więcej niż ból, w brzuchu budziła się dzika siła. Murawski zsunął się z krzesła, przycisnął twarz do ziemi. Spróbował zwymiotować, wyrzucił z siebie tylko gorzką ślinę. Chłopiec rozciął mu żołądek, krajał nerki, wreszcie, przywarł do kręgosłupa i uderzał pięściami po nerwach. Murawski zadarł koszulę i mógł przysiąc, że widzi drobne dłonie tuż pod skórą.

– Alfred, Alfred – wrzeszczał Zbyszek.

Murawski zerwał się na nogi. Minał oniemiałego przyjaciela. Tracił gościa w zabrudzonym płaszczu. Wypadł na ulicę. Przebiegł kilkanaście metrów, ból podciął mu nogi i stracił na lutowy śnieg. Pisarz przeczołgał się do bramy, przewrócił na plecy i zwymiotował zupe.

Ból ustąpił. Nie było żadnych dłoni pod skórą i żadnego chłopca.

– Zostaw mnie – jęknął Murawski. – Powiedz, co mam zrobić?

Zjawił się Zbyszek i obcy gość z restauracji. Murawski podniósł się ciężko, wykonał pijacki krok i stoczył się w ramiona przyjaciela.

\*\*\*

Jak wygonić tę twarz spod powiek?

Sen drażnił się z Murawskim. Po tygodniach poszukiwania spokoju, na każdym boku, w każdej pozycji, Murawski wpadał w dziwaczne drzemki. Wciąż był w swoim pokoju, obok spała Krystyna. Ale czasem zjawiał się ktoś jeszcze, obcy lub znajomy. Murawski mówił do niego, siadał na brzegu łóżka, by nagle pojąć, że jest sam z żoną.

Za słodkość jej snu dałby sobie odrąbać ręce.

Wcisnął twarz w poduszkę, szukał spokoju w ciemności, a gdy podniósł głowę, znów był ranek i ten felerny dzień. Murawski siedział w swetrze i gaciach, pił kawę i zbierał myśli. Wiedział, co stanie się za chwilę, ale ciało zdradziło go. Pozbawiony czucia, patrzył, jak jego ręce przeglądają gazetę, jak kawa wlewa się do ust. Za oknem wiatr wywijał śniegiem.

Próbował się zbudzić, ale nie umiał.

I trzaski na dole, głosy Niemców, stukot butów. Okupacyjny standard. Każdy bałby się w takiej chwili. Murawski wiedział, że kompromis z reżymem nie uratuje mu skóry. W takich chwilach czuł się osaczony jak każdy. Wierzył, że spokój osiąga się przez działanie. Jakby nigdy nic, przedreptał do blatu, nalał kawę i wypił zimną, przesłodzoną, jak zepsuty miód. Na dole burczały samochody.

Nie oparł się i zerknął za okno. Z samochodu wysypywali się żołnierze. Już słyszał gniewne krzyki na podwórku i kroki na schodach. Cofnął się w głąb mieszkania. Coś w głębi prosiło, by wszedł do szafy albo pod łóżko, jak mały chłopiec uciekający przed szkołą... Albo lepiej, skończyć. Wyjść na klatkę i krzyknąć, no, macie mnie brunatne bobki. Sehre fuehrer liże dupy psom!

Murawski stał w kuchni, niezdolny do ruchu.

Niemcy penetrowali podwórko, słyszał też trzaski drzwi na parterze i w suterenie. Krzyk zabrzmiał z dołu, wcisnął w mury, powędrował po piętach i można by pomyśleć, że kuchnia Murawskiego drży od tego krzyku. Potem strzały. Żadne tam serie. Raz, dwa, trzy, i cisza znów wisi w powietrzu. Murawski nie wytrzymał, podszedł do drzwi i nasłuchiwał

Być może przyszli po kogoś konkretnego i dadzą spokój.

Przyłożył oko do wizjera. Widział ciemny korytarz i wysoki sufit z ciemnożółtą lampą. Spokojny półmrok biegł po stopniach. Murawski odetchnął, psia mać, odetchnąłby każdy, kto robi za zwierzynę we własnym kraju. Przymknął oczy, a gdy otworzył je ponownie, zobaczył znajomego chłopca, pokonującego dwa stopnie na raz. Wyglądał, jakby zaraz miał rozpaść się na pół.

Murawski odszedł od wizjera. Wszystkie wypalone papierosy wróciły pod gardło w smolistym kaszlnięciu.

Chłopiec zabębnił o drzwi. Cicho, aby ci z dołu nie usłyszeli. I znowu, nerwy Murawskiego zbiegły się z drzwiami. To jakby ciąć szkłem działą. Chłopiec zabębnił ponownie, jak echo, grzmiały buty na schodach. Murawski nie drgnął i słuchał tylko, jak stukanie ginie w tupocie nóg. Chłopiec przestał uważać, walił w drzwi, jakby chciał nawiać z piekła i nagle wszystko ucichło.

Murawski zbliżył się do drzwi.

Zabrzmiało głucho uderzenie. Murawski wiedział, co się stało.

Wrócił do kuchni, dopił kawę i schował twarz w dłoniach. Cóż, z pewnymi rzeczami trzeba żyć i trudno, pierdolnąć drzwiami jak dziwką, bo w życiu nie wszystko zależy od nas. Ale dźwięki to zabawna sprawa. Są takie, które toną w nas powoli, w kremowym bagnie ludzkiego spokoju. Czasem coś brzmi jak pękający wszechświat. Czasem jeden dźwięk rozsadza wszechświat, jak laska dynamitu.

Odgłos pękającej czaszki.

Czaszki dziecka. Roztrzaskanej o ścianę.

\*\*\*

Niech pada ten pieprzony śnieg. Jeden płatek za każde zmarnowane życie. Murawski pędził przez zamieć, na plecach czuł chłód zimowej nocy. A może to był oddech diabła?

Warszawa zmieniła się w śniegową kulę, ożywioną przez cienie. Murawski przycisnął się do muru, zerwał czapkę z głowy, schował usta w dłoniach. Spod półprzymkniętych powiek widział pogięte i pokurczone kształty umarłych. Wiatr łopotał jak skrzydła. Gdzieś mignęły światła samochodu. Murawski usłyszał trzask drzwi. Ciemna sylwetka sunęła drugą stroną ulicy. Jakiś człowiek w mundurze, tak wielki, że mógłby podtrzymywać stropy w kościołach, przeszedł tuż obok. Przystanął, wykonał gest, jakby sięgał po broń, i nagle zniknął, bezgłośnie.

Niech zjawi się patrol i mnie zastrzeli, myślał Murawski, wszystko jest lepsze niż to.

Dotarł do latarni, schronił się w świetle.

– Gdzie jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Wiatr jeszcze się wzmocnił. Murawski miał wrażenie, że drobinki lodu przebijają mu skórę.

– Co ja mam zrobić?

Miękki przedmiot trafił go w czoło. Murawski upadł w śnieg. Przetoczył się na plecy, wcisnął się w zimną kołdrę. Zaciśnął powieki. Niech pomyślą, że umarł tutaj z przepicia. Schlał się i nie dotarł do domu.

Co po mnie zostanie?

Zimno przestało go męczyć. Czuł dziwną błogość, pełną od stóp do serca, jakby organizm tajał od środka. I dobrze, niech przypadną w tym syfie. Dobry Boże grafomanów, pozwól mi stopnieć, pobieleć jak tynk i zjednać się ze światem. Niech mnie nie będzie, pozwól mi zmienić się w śnieg. Niech spłynę kanałem wraz z pierwszym ciepłym dniem. Pozwól mi zniknąć, albo żyć w murach, spleść się z odchodami miasta.

Pomyślał, że warto by jeszcze otworzyć oczy. Z śniegu mogłaby wyłonić się brodata twarz Boga. Więc zwolnił powieki, wciągnął do płuc zimne powietrze. Najpierw widział tylko biel. A potem drobną sylwetkę, opartą o latarnię.

– Tomek, proszę – wyrzeźbił. Zdołał usiąść na ziemi. Nogi miał jak zamrożone kłody. Stracił śnieg z włosów. Otarł twarz.

Chłopiec stał nieruchomo. Jeśli on się zbliży, myślał Murawski, zrobi choćby krok do przodu, zwariuję. Zobaczę, Jezu Chryste, on jest bielszy od tego śniegu. I ma, na pewno ma pękniętą czaszkę. Wygląda jak rozłupany owoc. Jeśli podejdzie, jeśli spróbuje mnie dotknąć...

– Czego chcesz?

Chłopiec podniósł coś z ziemi i rzucił w stronę Murawskiego.

Szmaciana piłeczka odbiła się od jego piersi i znieruchomiła.

Murawski zerwał się i pobiegł. Dotarł do najbliższej bramy, gdzie nie dochodził śnieg. Nie oglądał się za siebie. Ukłęknał na schodach, zdarł rękawiczki z posiniałych dłoni i wydobył z torby plik pomiętych kartek. Pióro nie chciało mu leżeć w ręce. Przywiązałyby je, tylko po to, aby móc pisać.

Na klatce zabrzmiały dziecięce kroki.

Murawski zaciśnął pięść na piórze, przycisnął stalówkę, prawie rozrywając papier. Zaczął pisać.

*Lada chwila miał rozbrzmieć dzwonek na koniec przerwy między lekcjami.*

Zdanie rozlało się na całą kartkę. Murawski wcisnął ją do kieszeni, znalazł następną. Chłopiec za jego plecami dotarł już do drzwi i skręcał w stronę schodów. Buciki wybijały powolny rytm. Jego echo kołatało w głowie Murawskiego. Mróz ściał powietrze. Na szybach, jak zaczarowane, rozrastały się kwiaty. Żadne tam normalne zimno, ale trupi chłód grobowca, surowy mróz prosto z piekła. Murawski miał wrażenie, że pęcherzyki płuc cofają się przy każdym oddechu, w gardle zostaje szron.

Napisał niezgrabnie, z trudem utrzymując pióro.

*W grupie szeptem rozmawiającej na korytarzu rej wodził...* Murawski zawahał się, przez głowę przewaliły się tuziny imion, jak falujący tłum na peronie kolejowym. Zaciśnął usta. Na kartce położył się cień drobnej sylwetki. Murawski nie odważył się odwrócić.

*Rej wodził, pisał, Tomek Wilnowski, dobrze zbudowany blondyn, który z ożywieniem pocieszał swych zdenerwowanych kolegów.*

Przerwał i dotknął głowy, tuż nad potylicą. Włosy pokrywał cienki pancerzyk podobny do chityny. Zamarzły. Pióro wypadło ze skostniałych palców. Uderzyło o stopień, ale nie zabrzmiał żaden dźwięk. Murawski pomyślał, że jeśli się schyli, zmarznięty korpus przełamie się jak sopel. Wyciągnął palec, powoli, tak jakby chciał zabrać pióro z kłębowiska węży.

Zza pleców wysunęła się dziecięca dłoń. Na białej skórze skrzyły drobinki lodu. Pod pokruszonymi paznokciami krył się brud. Kciuk i palec serdeczny pochwyciły pióro i włożyły je w dłoń Murawskiego.

Powinienem się odwrócić, pomyślał, tak, jak powinienem otworzyć drzwi. Ale zgarbił się tylko nad kartką i pisał dalej. Para z ust zasłaniała widok, więc pisał na ślepo. Nie czuł już ręki, usta bolały, jakby zaraz miały odpaść, a Murawski zapełniał kolejne kartki koślawym pismem. Słowa spływały przez niego, jak rzeka, powracająca po suszy do znajomego koryta. Pisał i z każdym słowem oddychał głębiej, bo każde słowo było w porządku, tak w porządku jak słońce po burzy i piwo po dniu ciężkiej pracy. Pisał i czuł, że mroz słabnie, że krew nabiera tempa i że coś strasznego w sercu kurczy się, rozpada, topnieje.

Odwrócił się, gdy na dworze jaśniało.

Za plecami miał tylko paskudną ścianę i kupki śniegu.

Zebrał zapisane kartki, złożył starannie i na chwiejnych nogach poszedł do domu, przeprosić Krystynę i wreszcie spać spokojnie.

Bura rzeczywiście była potworna. Krystyna czekała z oczyma jak u królika, w samym szlafroku i powiedziała kupę nieprzyjemnych rzeczy. Takich, jakie kobiety mówią, żeby dokopać facetowi. Ale chyba dostrzegła w oczach Murawskiego coś, co kazało jej zamilknąć, jedną z tych tajemnic, o których nigdy się nie mówi.

\*\*\*

Murawski pochorował się okropnie. Zmarznięte dłonie bolały, jakby zdarto z nich skórę. Ale Murawski, kaszląc się i krztusząc, od rana pisał, leżąc w łóżku, obłożony termosami, pocąc się i trzęsąc na przemian. Pióro wypadło mu z dłoni – kto by pomyślał, że taki mały przedmiot może narobić tyle hałasu. Krystyna wbiegała wtedy do pokoju, prosiła, aby dał spokój. Murawski odpowiadał, że skoro pieprzony Wyspiański, przeżarty syfem jak ser pleśnią, rysował z węglem przywiązany do dłoni, to on, psiakrew, też da radę.

Tylko raz Krystyna zapytała, co stało się z chłopcem z dołu. Tym samym, który słuchał opowieści o Ameryce i pewnego dnia czekał na Alfreda ponad godzinę w pustym pokoju. Krystyna chciała wiedzieć, czy chłopak wyjechał, czy zabrali go Niemcy. Był to już rok 1957 i Murawski pisywał pod prawdziwym nazwiskiem. Na biurku w równych rzędach leżało jeszcze ciepłe wydanie nowej powieści dla młodzieży, "Tomek w krainie kangurów".

– Żyje – odpowiedział wtedy Murawski. – Ale nie wiem, co z nim. Wiesz, Krysiu. – Objął ją w ten szczególny sposób, który znają najlepiej chłopcy po pierwszym pocałunku. – Czasem zastanawiam się, co porabia. Coś mi mówi, że z nim wszystko dobrze.



Od autora:

*Informacje o okupacyjnym okresie Alfreda Szklarskiego są niezwykle skąpe. Wiadomo, że po wybuchu II wojny światowej, pozostał w kraju, mimo że jako posiadacz paszportu amerykańskiego, mógł go opuścić. Opublikował w prasie "gadzinowej" ponad 400 tekstów pod pseudonimem Alfred Murawski, stając się jednym z najbardziej znanych kolaborantów. Wziął udział w powstaniu warszawskim, a po wkroczeniu Sowietów został skazany za kolaborację i trafił do więzienia. Po odbyciu kary zadebiutował powieścią o przygodach Tomka Wilmowskiego.*